

NINIEJSZY TEKST STANOWI FRAGMENT KSIĄŻKI:

Zygmunt Gloger

PISMA ROZPROSZONE

TOM I

1863–1876

Redakcja naukowa edycji
Jarosław Ławski i Jan Leończuk

Wstęp
Jarosław Ławski i Grzegorz Kowalski

Opracowanie tekstów i przypisy
Grzegorz Kowalski i Łukasz Zabielski

Noty i słownik czasopism
Anna Janicka

Indeksy opracowali
Michał Siedlecki i Monika Jurkowska

Całość 3-tomowej edycji można znaleźć na stronie
<http://www.ksiaznicapodlaska.pl/statics/gloger.html>

Publikacja powstała w ramach grantu NPRH pn. *Naukowa edycja krytyczna „Pism rozproszonych” Zygmunta Glogera w trzech tomach*. Czas trwania projektu: lata 2013–2017

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
Katedra Badań Filologicznych „Wschód – Zachód” Uniwersytetu w Białymstoku
Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku

**KSIĄŻNICA
PODLASKA**



**NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI**

Białystok 2014

XVI. „Ognisko Domowe”

1

KILKA SŁÓW O DRZEWIE I OPALE, „Ognisko Domowe” 1876, nr 5; tekst opublikowano jako oddzielny artykuł na s. 56-57, z podpisem: „Zygmunt Gloger”.

Niektóre partie tego tekstu odpowiadają artykułowi nadesłanemu później do „Gazety Rolniczej” – do nru 48 (1880, str. 563-564) oraz nru 49, str. 575-577. Zob. także wzmiankę o tym artykule z „Kuriera Warszawskiego” zamieszczoną na końcu tekstu (*Aneks*).

Gdzież stosowniej niż przy *ognisku*¹ pogwarzyć o paliwie z gospożą, która strzeże domowego ogniska, z gospodarzem, który stara się o opał i z dziatwą, która, aby jej drzewa na ognisko nigdy nie zabrakło, powinna od młodu uczyć się je hodować i oszczędzać. W dziedzinie gospodarstwa społecznego naszego kraju drzewo należy do najważniejszych spraw żywotnych jako główny materiał opałowy. Gdy bowiem węgiel kamienny i torf nie wszędzie się znajduje i dowieziony być może, a wyczerpaniu ulega, to drzewo wiecznie odrasta tam, gdzie je zahodujemy.

Las więc jest przyrodzoną i pospolitą u nas skarbnicą paliwa. Lecz aby skarbnica ta była wieczystą, nie trzeba z niej nigdy w ciągu roku więcej wyczerpać nad to, co jednoroczny przyrost lasu dać może. Ten stosunek przyrostu drzewa do siekiery, czyli przybytku do ubytku, stał się podwaliną gospodarstwa leśnego, czyli porębowego. O rodzajach takiego gospodarstwa nie będziemy się tu rozpisywać, gdyż przedmiot ten należy do oddzielnej nauki, leśnictwa. W ogóle tylko powiemy, że każdy las podzielony na tyle części, czyli porębów², ile lat potrzeba do wzrostu i dojrzałości gatunku drzewa w nim rosnącego, zabezpieczonym jest na zawsze, jeżeli co roku tylko jeden z takich porębów wytniemy i urządzimy w tym miejscu zagajnik.

O ile gospodarstwo takie jest konieczne w każdym lesie, nie potrzebujemy tego dowodzić. Bez niego las jest obrazem albo nieładu i wyczerpania, albo pierwotnej dzikości i nieprocentującego prawidłowo kapitału. Doświadczenie przekonało, że aby zabezpieczyć lasy przed lekkomyślnością, nierządem i spekulacją jednostek, nawet w społeczeństwach najgospodarniejszych w świecie potrzeba pewnych ogólnych przymusowych w tej mierze przepisów. I tak na przykład w Niemczech, gdzie poszanowanie własności i ekonomię narodową posunięto niedawnymi czasy do ideału, widzimy jednak obowiązujące ogół posiadaczy nader surowe przepisy leśne. W Austrii kary za nieobsianie własnych porębów i zniszczenie zagajników liczą się na tysiące złotych reńskich.

Dowiedzionym jest także, iż wszelkie ciążące na lasach służebności opału i pastewnika są dla przyszłości lasów nader szkodliwe. Gdy bowiem wielu ma prawo do wspólnego użytkowania z lasu, to każdy stara się jak najwięcej z niego korzystać, a nikt nie myśli o konserwacji przedmiotu, który nie jest jego wyłączną własnością. Niepowetowane straty pociąga za sobą pasanie dobytku w zagajnikach, bo ten zjada latorośle i pożera razem z trawą wszystkie wschodzące przysze drzewa.

Do zabezpieczenia więc przyszłości od braku budulcu i opału potrzeba w każdym kraju, żeby: 1) gospodarstwo leśne było przymusowe, 2) na przestrzeniach lasów nie istniały żadne służebności i 3) społeczeństwo było gospodarnym w używaniu paliwa. Gdzie te trzy warunki są wykonane, tam nie ma potrzeby obawiać się o rzeczy tak dotkliwe w surowym klimacie, jak na przykład brak w zimie ciepłego pieca i tale-

rza gorącego rosołu. Tam wysmiane dziś przysłowie prostaczków „nie było nas – był las; *nie będzie nas – będzie las*”, staje się godłem przewodniej myśli licznych pokoleń, związanych zacną tradycją gospodarności. Aby to nastąpiło, potrzeba wejrzeć w liczne zwyczaje nasze, dotyczące obejsia się z drzewem i roztrzaskać ich dobre lub naganne strony.

Najprzód więc do tych szkodliwych zabytków z czasów, w których drzewo nie miało żadnej ceny i kiedy nie znano obliczania miąższości na kubiki³, należy używanie siekiery zamiast piły przy ścinaniu, układaniu w sążnie i przerąbywaniu kłoców na opał. Dalej, wysokie ścinanie nad ziemią i pozostawianie w lesie karp na zgnicie. Siekiera tylko do szczepiania⁴ drzewa używana być powinna. Przerąbywanie za pomocą niej kłoców nie tylko przynosi stratę czasu tak drogiego przy braku rąk pracowitych, ale jest karygodnym trwonieniem znakomitej ilości drzewa na drobne wióry, przeznaczone na zgnicie w lesie lub innych miejscach. Każda dłuższa sztuka przecinana piłą daje o jeden sążniowy klocek więcej, niż przerąbywana siekierą, a na 8-10 sążniach kubicznych drzewa przybywa jeden w dodatku, co na większej ilości stanowi znaczną rubrykę. Nadto przy piłowaniu staje się możliwą dokładna miara szczap i ułożonych sążni, co jest rzeczą ważną tak dla sprzedającego, jak dla kupca. Gdy zaś sążnie są rąbane siekierą, to przeciętna miara długości szczap nie może być należycie dokładna, skąd wynika nieraz kwestia w przyjęciu sążni, na czym zwykle gorzej wychodzi sprzedawca. Gdybyśmy byli w stanie obliczyć ogólną wartość straconego drzewa wskutek dość jeszcze powszechnego tu i ówdzie użytku siekiery zamiast piły, to wypadłaby niezawodnie wcale pokaźna suma w stosunku do naszego społecznego ubóstwa.

Oszczędności w wydzielaniu paliwa domownikom i czeladzi sądzimy, iż nikt rozsądny nie weźmie za jedno ze skąpstwem, lecz za praktyczne wyliczenie potrzebnej na dzień ilości opału do kuchni i pieców, a na miesiąc lub rok dla rodziny oficjalisty⁵ albo parobka. Jeżeli ordynarię⁶ mierzy się korcem i garncem, to dla czegoż drzewo pozbawione ma być miary; drzewo, które równie jak ziarno jest towarem i pieniądzem, a w swoim rodzaju o tyle mniejszym, że nie odrasta i nie dojrzewa jak zboże w ciągu roku. Gdzie nie ma zwyczaju wydzielania czeladzi opału, tam ona zużywa go ilość nieraz podwójną nad potrzebę, boć dla samego zwyczaju i oświetlenia izby, cały długi zimowy poranek i wieczór goreje stos na jej kominie, jak za owych czasów, kiedy wycinanie i karczunek dziewiczych borów był miarą postępu i kultury rolniczej. Tylko praktyczny wymiar paliwa może nauczyć naszych ludzi oszczędności w jego użyciu. Wymiar taki widzieliśmy w Prusiech, gdzie trzy kubiczne sążnie dobrego torfu wystarczają dla rodziny parobka na rok cały. W pewnych dobrach w Grodzieńskim widzieliśmy znowu odpowiedni wymiar drzewa. Nie potrzebujemy tu dodawać, że na objętość opału potrzebnego rocznie na jedno ognisko wpływa znamienicie gatunek drzewa i stopień jego wysuszenia. Drzewa mokrego wychodzi najmniej dwa razy tyle, co suchego, słaby bowiem płomień trzeba nagrodzić większą objętością paliwa i dłuższym czasem ogrzewania, a i dłuższe zajęcie pociąga za sobą stratę czasu roboczego. Toteż jest nader złym zwyczajem zwożenie na dziedziniec świeżo ściętego w lesie drzewa, z pozostawieniem kłoców na deszczu i rąbaniem ich po kawałku w miarę potrzeby. Już to każde drzewo bądź porządkowe, bądź narąbane do kuchni i pieców, a zostające bez dachu i zamknięcia, robi dla dobrego gospodarza wrażenie zboża lub dobytku pozostawionego na noc wśród drogi. Dość często napotykanne dziś w tym rodzaju niedbalstwo nie jest przecież zabytkiem dawnych czasów. Wszak starzy wieśniacy pamiętają ów powszechny niegdyś we dworach i dworkach zwyczaj przygotowywania pod dachem na całą zimę znacznej ilości smolnego łuczywa z karp starych sosen, celem oświetlenia w długie wieczory i poranki kuchen i izb czeladnych tudzież do szybkiego i łatwego rozpalenia ognia.

Lud nasz tam tylko oszczędza paliwa, gdzie albo sam je kupuje, albo własny las posiada. Takich jednak wiosek jest niewiele. W ogólności zaś, posiadając służebność opału w dworskich lasach, zużywa go dwukrotną ilość nad potrzebę. Przyczyniają się do tego kuchnie i kominy starego systemu (bez blach), na których przy jednym garnku stawy można w ciągu dnia spalić czwartą część fury mokrego drzewa, a wcale nie ogrzać mieszkania. Pospolicie więc pali się na kominie i w piecu. Jeżeli zważymy, że Królestwo Polskie posiada około 400 000 ognisk wiejskich, z których w najlepszym razie tylko czwartą część jako tako oszczędza paliwa, to przekonamy się, że reszta (300 000) nieznająca oszczędności marnuje każdodziennie⁷, zwłaszcza w czasie zimy, za kilkadziesiąt tysięcy złp. opału, co wynosi w każdym roku *kilkanaście milionów* puszczonych z dymem na marne.

Jeżeli już od lat kilkadziesiąt przepisy policyjne nie pozwalają wnoszenia innych kominów, czyli dymników, jak murowane z cegły, jeżeli zabraniają suszenia w piecach chlebowych lnu, zatykania komi-

nów słomą⁸ celem bezpieczeństwa od ognia, to niech nam wolno będzie rzucić pytanie, dlaczego by nie można pomyśleć o jakich dobrych przepisach w budowie kuchen w chatach wiejskich nowo wznoszonych? Widzieliśmy u kmieci pod Krakowem, jak gospoia na tak zwanym *cyganku*⁹ kilkoma funtami węgla kamiennego obiad gotuje i ogrzewa mieszkanie w zimie. Niejeden z naszych wieśniaków chętnie zaprowadziłby coś podobnego, gdyby miał wzór i czuł potrzebę oszczędności drzewa.

Zniesienie staropolskich kominków pokojowych nie jest wedle nas symbolem dobrze zrozumianej oszczędności paliwa. Kominek na wsi cichej i samotnej jest w zimie koniecznym warunkiem uprzyjemnienia *szarej godziny*. Miasto ma tysiące innych przyjemności, których nie posiada wiejskie ustronie w porze śniegu i mrozu. Przyjemności te w porównaniu z kominkiem są tam dla każdego stokroć kosztowniejsze. Czyż człowiek z czystym sumieniem, który pracowicie dzień przepędził i wszystkim obowiązkom jednostki społecznej zadość uczynił, nie wart jest tak bagatelnej przyjemności, jak odpoczynek w czasie szarej godziny wśród grona dziatwy, przy mile oświetlającym wiejską komnatkę ognisku? W życiu człowieka pracowitego i pracowitej rodziny nieodzowną jest co dzień pewna chwila, godzina, pół godziny bezwzględnie wypoczynku, popuszczenia w kółku rodzinnym wodzy myślom, wspomnieniom i opowiadaniom starszych. Latem chwila ta po zachodzie słońca znajduje ulubione siedlisko przed domem, w ganku, pod sędziwymi lipami, na ławach z szerokich bierwion¹⁰ lub głązów polnych, przy świetle srebrnych gwiazd i miesiąca. W zimie jest nią szara godzina przy kominku, a w chwili tej uosabia się święte znaczenie *ogniska domowego* pod względem psychologicznym, społecznym i symbolicznym, czyli przenośnym.

Próżniacy nie umieją ocenić znaczenia i przyjemności chwili takiej przy domowym ognisku, a rodziny pracowite, niemogące lub nieumiejące znaleźć na nią czasu, podobne są do porządnej maszyny, którą zowiemy zegarkiem. Zagaszenie ognia kominkowego w wiejskim dworze przez rzekomą oszczędność każe wnosić albo o skąpstwie gospodarstwa, albo o wyniszczeniu zupełnym lasu, albo o nieumiejętności zapracowania i zahodowania drzewa, a najczęściej towarzyszy brakowi wszelkiej kontroli opału, zużywanego bez miary przez czeladź.

A teraz, porzuciwszy rzeczywistość obecną, niech mi wolno będzie zrobić małą wycieczkę w krainę ekonomicznych marzeń, w krainę, która czytelnikowi wydać się może urojoną, a i mnie wydaje się bardzo jeszcze daleką, ale prawdopodobną. Oto gdym zwiedzając różne strony kraju, widział okolice piaszczyste, gdzie liche żyto, tatarka¹¹ i ziemniaki zaledwie mogą koszt uprawy opłacić i nie zawsze wyżywiają rolnika, tudzież inne [okolice], gdzie najpiękniejsza pszenna gleba drzemie pod szumem borów i kobiercem mchu leśnego, uderzyła mnie ta szkodliwa niestosowność, której naprawą powinno się zająć gospodarstwo społeczne przyszłych wieków. Piaszczyste obszary czyż nie powinny być przez swoich właścicieli całkowicie zasiane sosną, lubiącą grunt tego rodzaju i wyrastającą na nim w niebotyczne maszty, a na żyznej glebie czyż nie powinny wszędzie powiewać pszenice i inne szlachetne ziarno? Posiadacz boru na piaskach odniósłby znacznie większą korzyść z gospodarstwa leśnego niż rolnego, tak samo, jak rolnik z owoców pługa na wykarczowanym pszennym zagonie. Pierwszy posiadałby obfite środki do nabycia chleba, równie jak drugi do kupienia paliwa. Przy dobrych komunikacjach wodnych i kolejowych nic łatwiejszego i tańszego nad dostawę drzewa z puszczy w zapola i nawzajem mąki mieszkańcom lasów. Produkcja ogólna wzrosłaby, a wszystko przy dobrej woli jednostek i ekonomicznym pojęciu rzeczy mogłoby nastąpić z wolna, bez żadnych szkodliwych przewrotów, przymusów i strat materialnych.

Nie potrzebujemy tu dodawać, że do znacznie bliższej przyszłości w naszym kraju, bo do rzeczy praktykujących się już od dawna gdzie indziej, a wyjątkowo i u nas, należy obsadzanie dróg i międz drzewami owocowymi, wiśniami, lubiącymi grunt piaszkowy, a brzegów rzek, strumieni i łąk wierzbą, dającą najwięcej gałęzi na opał.

ANEKS

Anonimowa wzmianka o artykule Glogera pojawiła się w „Kurierze Warszawskim” 1876, nr 26, s. 2 [rubryka „Wiadomości miejscowe”].

Pan Zygmunt Gloger, znany badacz zamierzchłej przeszłości, nader czynny współpracownik wszystkich pism warszawskich, rzucający wiele zdrowych myśli w sprawach na dobre będących, zamieścił w ostatnim numerze „Ogniska Domowego” krótki, niemniej jednak pełen trafnych spostrzeżeń artykuł pod wielce... prozaicznym tytułem – *Kilka słów o drzewie i opale*. Krający skibę winni przede wszystkim rzucić okiem i wziąć pod uwagę słowa swego towarzysza.

¹ Gloger wyróżnił ten wyraz ze względu na znaczenie, do którego odsyła tytuł pisma: „ognisko domowe” – przenośnie: ogół dobrych relacji panujących w rodzinie, a zarazem miejsce rodzinnych spotkań, dom rodzinny. Metafora „ogniska domowego” wywodzi się ze starożytnego greckiego zwyczaju palenia ogniska w domu ku czci Hestii, opiekunki rodzin.

² Poręb, czyli inaczej: poręba – obszar wycinki drzew w lesie.

³ Miąższność to inaczej objętość drewna. „Kubik” to inaczej: metr sześcienny w kontekście objętości drewna. „Metr kubiczny” drewna określa objętość netto, czyli z wyłączeniem pustej przestrzeni pomiędzy kłodami drewna na stosie.

⁴ „Szczepanie” – rozczłonkowanie drewna na szczapki.

⁵ Oficjalista – czyli: urzędnik publiczny, a także ktoś zatrudniony do zarządzania prywatnym majątkiem.

⁶ Ordynaria – częściowa płaca służby dworskiej oraz robotników rolnych w folwarku otrzymywana w naturze (w drewnie, zbożu etc.).

⁷ „Każdodziennie” – każdego dnia.

⁸ Dawniej na wsi zatykano niekiedy kominy słomą lub grochowinami, żeby piece dymiły – była to forma żartów, figli, płatanych przez młodzież wiejską w ramach pożegnania starego roku i powitania nowego. Może także chodzić o kwestię regulowania spalania poprzez chwilowe przytykanie wylotu komina.

⁹ „Cyganek” – określenie pewnego typu pieca, mającego postać komory, do której wrzucano węgiel, utrzymywanej na czterech metalowych nogach.

¹⁰ Bierwiono – pień drzewa oczyszczony z gałęzi, czasem także z kory; kawałek drewna przeznaczony na opał.

¹¹ Tatarka – jedna z odmian gryki, Gloger stosuje rozróżnienie na *hreczkę* i *grykę* – tatarkę i grykę zwyczajną.

ZNAD NARWI, W LUTYM,
„Ognisko Domowe” 1876, nr 8, s. 99,
Tekst ukazał się w dziale „Korespondencja” na s. 99,
z podpisem: „Z. G.”

Kto uczęszczał przed rokiem na odczyty publiczne w Warszawie, ten przypomni sobie wypowiedzianą dźwięcznym słowem przez panią Elizę Orzeszkową rzecz *o wpływie nauki na rozwój miłosierdzia*. Mieszkaniec dalekiego ustronia tylko z pism dowiedziałem się o tym odczycie, który teraz ogłoszony we Lwowie drukiem¹, nasunął mi przy ognisku domowym kilka uwag w tym przedmiocie, które do waszego zacnego pisma ośmielałem się przesać.

Podobno nikt nigdy nie przeczył, że nauka i wiedza potrzebne są do *umiejętnego* zaradzenia ogólnej nędzy i zużytkowania skarbów płynących z dobroczynności serca ludzkiego. Są one więc *środkiem* pomocnym do osiągnięcia wielkiego celu, *środkiem*, który już przez ten sam swój charakter ma dostatecznie wielką doniosłości szlachetne stanowisko. Jak nauka i wiedza nie mogą zastąpić ani uczucia miłosierdzia, ani cnoty miłości chrześcijańskiej, tak to uczucie i cnota potrzebują nawzajem pomocy nauki i wiedzy do nasycenia pięciorgiem chleba zgłodniałej rzeszy. Miłość chrześcijańska i płynące z niej miłosierdzie tworzą w połączeniu z nauką i wiedzą najwyższą harmonię czynu, do której dążą rozumne społeczeństwa. Rzecz to niezmiernie prosta i jasna. Nie pojmujemy więc wcale praktycznego celu rozbicia pojęć o tej harmonii przez usunięcie cnoty i uczucia gdzieś na plan drugi czy trzeci, a postawienie wiedzy na pierwszym. Nie pojmujemy tym bardziej, że kraj nasz nie przedstawia wcale tej pożądanej harmonii, jak to zobaczymy poniżej.

Złote źródło miłosierdzia, tryskając z serca, z miłości chrześcijańskiej i tajemniczych prądów ducha człowieczego, płynie łożyskiem obyczaju narodów i miewa często mały związek z książką i wiedzą. Stąd pochodzi, że społeczeństwa jednakowej cywilizacji różnią się ogromnie pod względem stopnia uczuć miłosierdzia i miłości bliźniego. Stąd pochodzi, że gdy Francja złożyła w krótkim czasie kilkadziesiąt milionów franków na mieszkańców dotkniętych powodzią w południowych departamentach, to Niemcy nigdy nie przestaną żałować, że od ludu francuskiego wzięli tylko pięć miliardów haraczu².

Wedle pojęć naszego *bez oświaty* książkowej wieśniaka, zaparcie chaty przed żebrakiem równa się wielkiemu występкови. Jałmużna, wedle niego, może być najmniejszą – ale daną być musi. Odmówienie gościnności przy ognisku domowym jest rzeczą niebywałą. Ubogi, kaleka istotny lub pozorny, młody lub starzec, w łachmanach lub dobrej kapocie, byle sakwami na krzyż owieszony, z równą otuchą przestępuje próg chaty wyrobnika, jak sołtysa i najbogatszego kmiecia, a odmawiając pacierze, zasiada bez pytania na ławie. Jeżeli zastał domowników przy obiedzie lub wieczery, to sadzają go przy stole i dają łyżkę w rękę; jeżeli nie, to ofiarują kawał chleba ukrojony z bochna zawiniętego starym zwyczajem w biały obrus i leżącego na stole. Nikt takiego podarku nie odmawia, choć nieraz żebrak dzwiga już potężne sakwy, srodze brzemienne bożym darem. Gdy dzień szczęśliwy lub świąteczny, to do skarbcza dziadowskiego napływają i inne przysmaki; jeżeli zaś kaleka jeździ na wózk, to zaledwie stanie przed chatą i śpiewać zacznie, a już mu jadło wynoszą. Najbogatszy kmieć chętnie siada obok żebraka, zasięga jego rad lekarskich i słucha nowin, prosi o błogosławieństwo dla dziatwy.

Ale wcale inaczej bywa u kolonistów niemieckich lub tam, gdzie się trafi oficjalista³ albo dziedzic Niemiec. Biedni i kalecy omijają z daleka ich domy z powodu psów zajadłych, drzwi pozamykanych, szturchańców i pogardy dla ubóstwa.

Obyczaj naszego ludu utrzymuje całe rotę⁴ żebraków, w połowie wprawdzie prowadzących tułaczy żywot z rzemiosła i próżniactwa, nie z potrzeby, gdy tymczasem wśród kulturtregerów⁵ tu osiadłych

wszyscy kalecy prawdziwi poumieraliby z głodu. Widzimy więc, że zarówno potrzeba wiedzy u naszych kmieci, jak cnoty miłości bliźniego u naszych sąsiadów, natarczywie uczuwać się daje. Przeszło od pół wieku na przykład posiadamy już w Królestwie Polskim dobre przepisy rządowe do urzędzenia w każdej gminie przytuliska i szpitala, dla utrzymania kosztem gminy wszystkich jej ubogich kalek i starców. Do wprowadzenia w czyn tych przypisów stoi głównie na zawadzie brak oświaty wśród ludu. Każdy bowiem kmięć woli co dzień nakarmić dwóch żebraków, jak dać na rok kilka lub kilkanaście złotych na szpital i przytulisko, choć ten ostatni wydatek niezawodnie mniej by go kosztował. Ze wzrostem cywilizacji więc nastąpi kiedyś reforma i zobaczymy, że nauka i wiedza zmniejszą ofiarności dzisiejszego miłosierdzia ludu, jeżeli mniejsze środki, umiejętnie użyte, wystarczą do zaspokojenia celu. Nauka higieny czy medycyny opiekować się będzie każdym chorym, przyniesie ulgę kalectwu, urządzi wzorowo szpital i przytulisko. Wiedza spełni w ogóle tu swoje pośrednie przeznaczenie. Ale miejmy się na baczności i poczytajmy to sobie za obowiązek sumienia, aby lud nasz w sprawie miłosierdzia nie był wyzuty z uczuć i cnot chrześcijańskich i nie został oddany na zimną łaskę samej wiedzy i rachuby. Jedna tylko bowiem miłość ociera łzy sierocie, uczy cichego poświęcenia dla drugich i w kęsie darowanego chleba osładza gorycz jałmużny!

¹ Zob. E. Orzeszkowa, *O wpływie nauki na rozwój miłosierdzia*, Lwów 1876.

² „Pięć miliardów haraczu” – jest to aluzja do okupu, który Francja musiała zapłacić Prusom po wojnie francusko-pruskiej prowadzonej w latach: 1870–1871, zakończonej przegraną Francji.

³ Oficjalista – czyli: urzędnik publiczny, a także ktoś zatrudniony do zarządzania prywatnym majątkiem.

⁴ Roty – czyli: mrowie, znaczna liczba. Rota była dawną polską jednostką piechoty, liczącą 300 żołnierzy.

⁵ Kulturtreger albo kulturträger – po niemiecku: pionier cywilizacji, kultury; ten, który krzewi kulturę; w polszczyźnie Glogera słowo to oznaczało osobę narzucającą komuś własną kulturę, zasady, elementy obyczajowości – i było związane z kwestią niemieckiego osadnictwa na ziemiach polskich.

KILKA SŁÓW O DROBIU,
„Ognisko Domowe” 1876, nr 9;
tekst opublikowano w rubryce „Z domu i dla domu” na s. 110-112,
z podpisem: „Zygmunt Gloger”.

Ptactwo domowe ważne zajmuje stanowisko w gospodarstwie kobiecym jako niezbędny artykuł kuchni, a w gospodarstwie społecznym jako przedmiot produkcji. Gdzież więc stosowniej niż przy ognisku domowym pogwarzyć *kilka słów o drobiu*. Bierzemy się tym chętniej do pomówienia w tej sprawie, że nie zdarzyło się nic innego spotkać w czasopiśmie naszych oprócz skarg na drożyznę drobiu w stolicy, na brak zamówienia naszych gospodyń do hodowli tej *domowej zwierzyny* i oprócz przepisów o hodowaniu indyków. O ile sobie przypominamy, poruszaliśmy także sami kwestię drobiu w jednej korespondencji ze wsi¹, ale było to już dawno, i w piśmie codziennym, gdzie mniejsze artykuły giną szybko w powodzi druku i czasu.

Przede wszystkim hodowla drobiu wymaga bardzo dokładnego rachunku i praktyczności; hodowla spekulacyjna² może być zyskowna tylko w pobliżu wielkich miast, fabryk i kolei żelaznych. Rachunek, o którym mówimy, polega oczywiście na stosunku wartości pokarmu i w ogóle kosztów hodowli do przychodu w mięsie, pierzu, jajach i nawozie, jaki drób dać może. Wiadomo bowiem, że ptaki w ogólności potrzebują bardzo wiele pokarmu względnie do swego wzrostu i wagi. Toteż przy dość wysokich cenach ziarna (na przykład owsa) drób nigdy tani nie może być, a zwłaszcza kury żyjące głównie zbożem. Dobra gospodyni przeto powinna głównie baczyć, aby pożywienie drobiu obok dobroci, posiadało warunki możliwej taniości. W tym też celu hodowcy drobiu za granicą używają dla niego na pokarm mięsa ze zwierząt niejadalnych przez ludzi, także koniny i robaków, których wielką ilość otrzymują, mieszając krew z trocinami, i tę mieszaninę w płytkim rowie przykrywając ziemią na dwa tygodnie, a później w miarę potrzeby robactwa używając. Powyższy system żywienia widzieć można zastosowany pomyślnie i na wielką skalę dokoła Paryża, tego olbrzymiego konsumenta jaj i drobiu.

U nas ścisły rachunek w hodowli drobiu rzadko napotkać można, lubo troskliwych gospodyń w tej gałęzi domowego gospodarstwa mamy wiele. Każą one skrzętnie zbierać dla drobiu odpadki kuchenne, co jest rzeczą ekonomiczną, ale też i ziarnem szafują nieraz zanadto *szczodrze*. W ogóle po dworach i dworakach naszych chowają drobiu na domową potrzebę niemało. Hodowla ta jest kosztowną, ale niezbędną; toteż bardzo słusznie pan Koszutski w swoim artykule „o drobiu” w *Encyklopedii rolnictwa*³ nazywa ją „*złem koniecznym*”. Gdy bowiem w porze letniej bardzo trudno na wsi o świeże mięso, a często dostać go wcale niepodobna, to drób dostarcza go zawsze dla zdrowych i słabych, dla wieśniaków i mieszkańców miast, lato na wsi spędzających, a wtedy wyczerpują się zwykle najliczniejsze jego stada.

W każdym razie do gospodarza należy zbadać ściśle warunki swego gospodarstwa i oznaczyć, ile i jakiego drobiu hodować może, ile może w ten sposób zużytkować pośladów zbożowych⁴, i czy odległość od większych miast, fabryk i kolei pozwala mu na hodowlę spekulacyjną lub tylko na zaspokojenie domowej potrzeby. Zarówno w pierwszym, jak drugim razie (jeżeli *notabene* nie ma żony lub córek zagłębionych we francuskich romansach) czy może być co przyjemniejszego w wiejskim podwórzu, nad obrazek z wielkiego poematu:

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
Stała, trzymając w ręku podniesione sito.
Do nóg jej biegło ptactwo: stąd kury szurpate⁵
Toczą się kłębkami, stamtąd kogutki czubate,
Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki!!!⁶

Ze wszystkich rodzajów drobiu gęś największe daje zyski w spekulacyjnej hodowli. Utrzymanie gęsi jest najmniej kosztowne, bo żywi się ona i wzrasta na pastwisku, nie potrzebując innego pożywienia. Do zupełnego zaś utuczenia gęsi potrzeba około 60 funtów wyborowego ziarna i tę gęś chudą, ważącą 12 funtów, do 28 funtów wagi doprowadzić można. Tym sposobem trzy i pół funta ziarna produkują w gęsi 1 funt mięsa i smalcu. Przez tuczenie gęsi tatarką⁷ w bardzo ciasnym i ciemnym miejscu wątrobę jej do dwóch funtów wagi doprowadzić można. Nieco siarczku antymonu⁸ dodanego do pokarmu także przyczynia się do wzrostu wątroby^a. Gęś ma tę jeszcze wyższość materialną nad innym drobiem, że prócz smalcu dostarcza najlepszego pierza i puchu. A jednak tak zyskowna jej hodowla spotyka znaczne trudności w lepszych gospodarstwach i w wielu miejscach bywa wcale niemożliwą; ptak ten bowiem, trudny w dopilnowaniu, czyni w polach największe szkody i zanieczyszcza pastewniki, a stąd oddzielnych przestrzeni potrzebuje. Toteż chowem gęsi zajmują się u nas prawie wyłącznie wieśniacy, a produkcja tego drobiu ogromnych rozmiarów dosięga. Dwóch bowiem mamy w tej mierze potężnych spożywców: jednym są Prusy, do których przez graniczne komory królestwa wywieziono na przykład w roku 1873 za paręset tysięcy rubli tego produktu; drugim, znacznie większym, konsumentem jest miejscowa ludność starozakonna, dla której smalec gęsi zastępuje tłuszcz nierogacizny, przepisy bowiem religijne Żydów wzbraniają im mleczywa⁹ i masła do kraszenia potraw mięsnych. Niemcy wolą gęś kupić, niż hodować, co jest najlepszym dowodem, jak trudno znaleźć miejsce dla tego drobiu w dobrym gospodarstwie; starozakonni znowu, nie zajmując się rolnictwem, z konieczności znaczną ilość gęsi kupować muszą.

Jak chów gęsi istnieje u nas prawie wyłącznie w zagrodach włościańskich, tak po dworach i dworkach, a poniekąd i u cząstkowej szlachty, głównym spekulacyjnym drobiem są indyki. Z tego źródła zaopatruje się Warszawa, a sama Kolej Petersbursko-Warszawska¹⁰ przynosi z jednej tylko guberni łomżyńskiej corocznie kilkadziesiąt tysięcy tych delikwentów.

Atoli przeszło półmilionowa ludność starozakonna na prowincji jest głównym w Królestwie konsumentem drobiu wiejskiego, bo każda rodzina tego pogłowia, choćby najbiedniejsza, musi na szabas mieć gęś lub kurę. Stąd stolica nasza znajduje się w odmiennym położeniu od wszystkich innych wielkich miast Europy: bo gdy tamte dostają pierwociny, to Warszawa otrzymuje resztki prowincjonalnej produkcji drobiu.

Najmniej rozwiniętą jest u nas hodowla kurcząt i pulard¹¹. Kura wszędzie towarzyszy człowiekowi, żyjąc z nim pod równikiem i w Jakucku¹²; kości jej znaleziono w resztkach kuchennych przy nawodziskach, czyli mieszkaniach p a l o w y c h¹³ z przedhistorycznej epoki. Kura, powiada pan Koszutski, potrzebuje *czystości, suchości i ciepła* w kurniku. Bez tych trzech warunków marnieć ona będzie albo szukać pomieszczenia poza kurnikiem. Najlepiej urządzić osobne podwórko dla drobiu, które – jeżeli to jest możliwym – płynąca woda przerzynać powinna. Zbierany starannie nawóz kur, indyków i gołębi opłaca starania, bo należy do najlepszych nawozów, zwłaszcza pod ogrodowizny¹⁴. Dla oszczędności można kurnik przybudować do szczytowej ściany obory lub owczarni, a zrobione otwory w ścianie przegrodzić siatką lub szczeblami; tym sposobem ciepło z obory lub owczarni ogrzewać będzie kurnik i przedziały zrobione dla innego drobiu. W podwórzu potrzeba dla drobiu dobrego ogrodzenia, aby się nie dostawał do obór i stajen, gdzie żłoby i paszę zanieczyszcza, do ogrodu i na pole, gdzie częstokroć znaczne szkody wyrządza. Bielenie ścian, codzienne przewietrzanie, wymiatanie, posypywanie piaskiem lub gruzem wapiennym i popiołem jest koniecznym warunkiem zdrowia drobiu, a łatwiej tymi środkami zapobiec jego chorobom, niżeli je leczyć.

Kura karmiona regularnie, ale nie do zatyca, przy tym w zimie w ciepłym kurniku zostająca, znosi rocznie 80-120 jaj. Pokarmem najlepszym dla niej jest ziarno, do czego zwykle używa się poślednie. Pan Koszutski powiada, że dobrze jest ześrutować to ziarno i zmieszać z gotowanymi ziemniakami. Ciepłe, lecz nie gorące jedzenie lubią kury i ono jest dla nich pożyteczne; karmione rozmaitym robactwem, dają najdelikatniejsze mięso. Ponieważ łupina jaja składa się z wapna, którego kurom dostarczać trzeba, najlepiej więc dawać im pokruszone łupiny jaj, szczególnie w porze zimy^b. Kury mające się tuczyć trzeba posadzić ciasno i tu im dostarczać jedzenia i wody ile chcą. W Holandii dają im ugotowaną pszenicę, na dwór nie wypuszczają i po dwóch tygodniach mają drób nader tłusty. W Indiach Wschodnich¹⁵ tuczą kury niedogotowanym ryżem i cukrem przez trzy tygodnie, przy czym wychodzi 2 funty i 20 lutów ryżu oraz kilka łyżek cukru, który się tylko przez trzy lub cztery dni dodaje. Pierwszego dnia przy rozpoczęciu tuczenia głodźć trzeba kurę, a dopiero gdy się już do więzienia swego przyzwyczai, dawać jej jeść pod dostatkiem.

Kura wysiada zwykle jaja przez trzy tygodnie. Wedle pana Koszutkiego, dziesiątego dnia można jaja „pławić”, to jest wpuszczać w ciepłą, ale nie gorącą wodę, aby się przekonąć które się załęgły, a które nie. Jaja, które zatoną, wyrzucić należy, pływające zaś są załęgnięte i zaraz znów pod kurę się je kładzie. Ponieważ ciepło w takim jaju dochodzi do 30° Réaumur, a w miejscu, w którym się lęgną pisklęta, nie bywa często więcej ciepła nad 10° do 20° Réaumur, stąd więc pochodzi przyczyna wielkiej śmiertelności, zwłaszcza indycząt. Wylęganie jaj, mianowicie kur, za pomocą umyślnie urządzonych do tego pieców i sztucznego ciepła szerokie miało zastosowanie już w odległej starożytności, zwłaszcza w Egipcie. Lecz co pod południowym niebem jest możebnym, to w zimniejszym klimacie napotyka na wielkie przeszkody, z których główną stanowi trudność utrzymania jaj w ciągu trzech tygodni w jednostajnej temperaturze ciepła 30° R. Podwyższenie zaś lub niżenie ciepła zarówno zabija pisklę w jaju w przeciągu godziny.

Jako główną przeszkodę do rozwoju u nas spekulacyjnej hodowli drobiu uważamy, obok znacznych a prawie nieuniknionych kosztów utrzymania, brak odpowiednio urządzonych stosunków handlowych (w tej gałęzi przemysłu) między prowincją a Warszawą. I tak: wiadomo jest, iż żadna gospodyni wiejska, choć wyhoduje kilkadziesiąt sztuk drobiu na sprzedaż, nie może z nim sama mil kilkanaście, a nawet kilka jechać do Warszawy, bo najskromniejszy koszt podróży będzie równy lub przewyższy największy zysk na produkcji. A produkt to najkłopotliwszy do przewozu i zbycia, bo żywy, wymagający ciągłej pieczy i natychmiastowej w mieście sprzedaży. Hurtownych zaś przekupniów drobiu jest w Warszawie mało, trudno ich wyszukać, a jeszcze trudniej nie popaść w ich sidła. Stąd praktykowane niekiedy wysyłanie drobiu ze wsi na sprzedaż, pod dozorem sługi lub oficjalisty, zwykle tylko straty przynosi. Zwykle przetoczek kupca w domu. W gub. łomżyńskiej, siedleckiej i grodzieńskiej kupcem takim jest zwykle częstkowy szlachcic mazowiecki lub podlaski; gdzie indziej przeważnie zajmują się tym Żydzi. Ogólny dobrobyt tych wszystkich handlarzy jest dowodem na to, jak znaczne zyski przemysł drobiowy im przynosi. Tymczasem gospodyni wiejska nieraz długo musi wyczekiwać na przybycie takiego kupca, ponosząc stratę na żywieniu drobiu i będąc zależną od nabywcy lub zmowy kilku nabywców, zwłaszcza jeżeli ci są starożakonni.

Zaradzić wszystkiemu złemu i dźwignąć przemysł drobiowy pod większymi miastami i przy kolejach mogłyby dwa środki wspólnie działające. Pierwszym powinna być w Warszawie jakaś na większą skalę drobiarnia, która by się hurtownym zakupywaniem domowego ptactwa na prowincji i w miejscu, a rozprzedażą przekupniom, sklepom i restauracjom w mieście, zając powinna. Dom taki rzetelnie prowadzony, ogłaszający się w pismach, mógłby wiele rzeczy załatwiać listownie z ziemiankami, a po cenie umówionej lub obwieszczonej kupować (na wsi lub przywiezione do Warszawy) stada drobiu na wagę. Taka bowiem sprzedaż jest najlepsza, a praktykuje się już w niektórych miastach prowincjonalnych, na przykład w Białymstoku. Dom taki mógłby nawet korzystnie robić interesy z zagranicą, gdybyśmy mieli dużo drobiu, który tam po wyższych jeszcze niż u nas sprzedaje się cenach. Petersburg mógłby w tym względzie odegrać także arcyważną rolę.

Drugim środkiem powinny być po miastach prowincjonalnych sklepy stowarzyszonych obywateli do sprzedaży wszelkiego rodzaju produktów domowych. Kilka słów o takich sklepach zostawiamy sobie na później.

^a *Encyklopedia Rolnictwa*, II, s. 61. [Zob. K. Koszutski, hasło *Drób*, w: *Encyklopedia rolnictwa i wiadomości związek z niem mających*, t. II, red. J. T. Lubomirski, Ed. Skawiński, St. Przysański, Warszawa 1874, s. 49–62].

^b Niektórzy hodowcy drobiu (widzieliśmy to w Belgii) wystrzegają się tego sposobu i bardzo skrzętnie chowają łupiny od jaj w miejsca, skąd kury wygrzebać ich nie mogą; twierdzą oni, że kury, przyzwyczajwszy się do łupin, dziobią potem i niszczą zniesione przez siebie jaja. (Przyp. Red. „Ogniska Domowego” – red.).

¹ Gloger ma najprawdopodobniej na myśli tekst *Z Podlasia, w styczniu* („Gazeta Warszawska” 1875, nr 34, s. 3), w którym wyjaśniał przyczynę wysokiej ceny drobiu, jaka się wówczas w sklepach utrzymywała.

² Spekulacja – jeden z zabiegów stosowanych w różnego rodzaju transakcjach. Celem spekulacji jest osiągnięcie dochodu poprzez wykorzystanie przewidzianych zmian w cenach produktów.

³ K. Koszutski, dz. cyt., s. 61.

⁴ Poślad zbożowy – odpad z młócki zboża.

⁵ Kury szurpate – odmiana drobiu ozdobnego, kury o strojnym upierzeniu („szurpate” to inaczej „kostropate”).

⁶ Cytat z *Pana Tadeusza*, Księga V, w. 55–59. W oryginale nie ma tych dwóch wykrzykników i trzykropka na końcu, kolejne wersy brzmią: „I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki, / Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;” – por. A. Mickiewicz, *Dzieła. Wydanie rocznicowe 1798–1998*, red. Z. J. Nowak, M. Prussak, Z. Stefanowska, Cz. Zgorzelski, t. IV: *Pan Tadeusz*, tom oprac. Z. J. Nowak, Warszawa 1998, s. 141.

⁷ Tatarka – jedna z odmian gryki, Gloger stosuje rozróżnienie na *hreczkę* i *grykę* – tatarkę i grykę zwyczajną.

⁸ Siarczek antymonu – antymonit, minerał z grupy siarczków.

⁹ Mleczywo – mleko, przetwory mleczne.

¹⁰ Kolej Warszawsko-Petersburska – dawna linia kolejowa łącząca Warszawę z Petersburgiem. Była to druga linia kolejowa na ziemiach ówczesnego Królestwa Polskiego (po Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej). Została otwarta w 1862.

¹¹ Pulardą, pulardką zwano kurę, którą się chowało – w odróżnieniu od nioski – na mięso. Zob. S. B. Linde, *Słownik języka polskiego*, wyd. II, t. IV (P), Lwów 1858, s. 721.

¹² Jakuck – odległe miasto w północno-wschodniej Syberii, położone nad rzeką Leną.

¹³ „Nawodziska”, „mieszkania palowe” – tak nazywano w czasach Glogera budowle wznoszone na palach, wbitych w dno jeziora lub innego zbiornika, najprawdopodobniej w celach obronnych. Podkreślenie autora lub redakcji „Ogniska Domowego”.

¹⁴ Ogrodowizny – inaczej: ogół jadalnych roślin ogrodowych.

¹⁵ Indie Wschodnie – nazwa kolonii założonej przez Holenderską Kompanię Wschodnioindyjską, pod zwierzchnictwem Królestwa Holenderskiego w latach 1799–1949; obejmowała ona teren Sumatry, Jawy, część Borneo oraz innych wysp dzisiejszej Indonezji.

ZNAD NARWI, W MARCU,
 „Ognisko Domowe” 1876, nr 13, s. 163-164.
 Tekst ukazał się w dziale „Korespondencja” na s. 163-164,
 z podpisem: „Z. G.”.

Tekst ten ukazał się najpierw w innej postaci – zob. Z. Gloger, *Z Łomżyńskiego*, „Gazeta Warszawska” 1874, nr 282, s. 1; niniejsza wersja jest bardziej rozwinięta, uzupełniona oraz podpisana własnymi inicjałami (tekst w „Gazecie Warszawskiej” nie był podpisany w ogóle).

Do warunków, na jakich spoczywa pomyślność każdego społeczeństwa, należy i ten, aby ogół pojmował jasno cały mechanizm swojego społecznego organizmu. Jeżeli to nastąpi, jeżeli wszyscy poznają dokładnie wady i usterki w budowie tego skomplikowanego aparatu, który zwiemy: narodem, społeczeństwem lub ogółem, wtedy wystarczy dobra wola i solidarność ogółu do przeprowadzenia znacznej części potrzebnych zmian i naprawek w tym mechanizmie. Społeczeństwo jest tylko zbiorem *rodzin*, sądzimy więc, iż obraliśmy właściwą drogę, poruszając w „Ognisku Domowym” jedną wprawdzie ze spraw dla kraju drugorzędnych, ale dotyczących bardzo blisko ogniska rodzinnego.

Do historycznych pasożytów naszych należą Cyganie. Kwestia ich bytu podniesioną była już na sejmie w roku 1607¹. Wielu posłów głosowało za wywołaniem tych koczowników z granic polskich. Konstytucja atoli, czyli uchwała w tej sprawie, nie przysła do skutku z powodu opozycji głównie posłów podlaskich, utrzymujących, iż Rzeczpospolita nie może wypędzać ludzi wolnych, między którymi jest wielu dobrych kowali, kotlarzy i ludwisarzy czyli giserników² (ci to ostatni, chodząc po dworach, dworkach i miasteczkach, na nowo odlewali pogięte i stare talerze i półmiski cynowe, powszechnie wówczas używane).

Były to jednak błogosławione czasy, w których Cyganie dostarczali wielu pożytecznych rzemieślników. Dzisiaj dzieje się inaczej. Na kilkudziesięciu Cyganów zaledwie jeden jest rzemieślnikiem; reszta spędza całe życie na tułaczce, żebraniu, wróżeniu, kradzieży (pozorując się często handlem koni) i przesiadywaniu w więzieniach. Żadne zmiany krajowe i paszportowe, kordony i przepisy policyjne nie wpłynęły ani na włos na tę ludność. Po staremu wałęsa się ona ustawicznie, a tak jest ruchliwą, że choć na przykład w całym Królestwie Polskim nie przenosi kilkaset pogłowia, to prawie każda z dwudziestu tysięcy wiosek ma do roku kilkakrotnie lub częściej tych gości. Zwykle obozują oni w lesie, skąd robią wycieczki do okolicznych wiosek. Cyganki z dziećmi, często nagimi, pomimo zimna i słoty, idą w dzień żebrac, wróżyć i kraść. Nie omijają żadnej chaty ani świetlicy, biorąc zwykle po dziesięć groszy za wróżbę, która zwykle pełna niedorzeczności, a nieraz smutnych przepowiedni, powoduje niekiedy *najzgubniejsze skutki* na wrażliwych kobietach wiejskich. Mają one [Cyganki] na sobie płachty lub wielkie fartuchy, służące do okrycia drobiu lub innych przedmiotów, które kradną z zadziwiającą zręcznością. Chodzą zwykle szybko, czas bowiem to dla nich procentujący kapitał, a najlepiej lubią nawiedzać wioski latem, gdy gospodynie są w polu lub na ogrodach u pracy. Gęstwina leśna zasłania ognisko, przy którym pieką się ukradzione prosięta, najprzedniejszy przysmak cygański. Mężczyźni robią wyprawy nocne do obór, stajen, chlewów i na pastewniki, a po uczynionej kradzieży przenoszą swój obóz niepostrzeżeni o mil kilka lub dalej. Zbrodni nie dopuszczają się prawie nigdy, ale za to w wyobrażeniach naszego ludu kradzież tak jest wrodzoną naturze Cygana, że złapanych na gorącym uczynku rzadko kiedy włościanie oddają w ręce sprawiedliwości, ale, odebrawszy im zdobycz i trochę obiwszy, puszczają swobodnie, powiadając: że przecie od tego urodził się Cygan Cyganem, żeby kradł! Jak kobiety, tak i mężczyźni, są bardzo zręczni w kradzieży, wyprasaniu się i ucieczce, tak dalece, że śmiało powiedzieć można, iż na sto popełnionych kradzieży raz tylko odsiadują karę w kozie, którą znoszą cierpliwie, aby znowu powrócić do swego rzemiosła. Gdy zdarzyło nam się

przyganiać Cyganom, dlaczego nie biorą się do zarobku i pracy, to odpowiadali, że: „chyba by Pana Boga w niebie nie było, żeby Cygan pracował”.

Na trakcie z Białegostoku do Bielska³ jest w guberni grodzieńskiej cała wioska cygańska. Cyganie atoli tamtejsi nie zajmują się wcale rolą, ale wypuszczają grunta w dzierzawę, aby mogli swobodnie oddawać się włóczęgostwu. W ostatnich latach zaczęły nas częściej nawiedzać karawany Cyganów węgierskich, z olbrzymiej wielkości dętymi guzami przy kaftanach. Ludzie ci są zamożniejsi i dopełniają niezłe robót kotlarskich, ale kobiety ich kraść umieją tak samo, dzieci z naprzykrzeniem żebrzą, a dorośli mężczyźni są dziwnie zuchwali w kradzieży siana z kop i stogów i wypasaniu łąk swymi końmi, których nieraz koczowiska mają po kilkanaście.

Jednym słowem, tak wyobrażenia Cyganów o przeznaczeniu swoim, jak również naszego ludu o Cyganach, pielęgnowane przez obie strony z jednakim konserwatyzmem, są dla ogółu bardzo szkodliwe. Mniemanie prostoty, iż Cyganka, której się wróżyc nie pozwoli, może na dom nieszczęście sprowadzić, jest najniedorzeczniejszym przesądem, zaszczipionym zręcznie przez same wróżki w ich własnym interesie, przesądem zasługującym wśród tysiąca innych na wyjaśnienie i potępienie z wiejskich kazalnicy.

Pomimo całej szkodliwości Cyganów, nie przemawiamy tu bynajmniej za wydaleniem ich z kraju, byłoby to bowiem barbarzyństwem niegodnym narodu i wieku. Jako tutejsi poddani mają oni prawo do opieki i obowiązek stosowania się do zasad porządku społecznego. Jeżeli pod względem procedury życia przedstawiają antymoralny i antycywilizacyjny obraz, to któż wie, czy nie połowa winy leży po stronie mas, które płacą za wróżby i złodziejstwo, a włóczęgę uważają za potrzebę duszy cygańskiej, wreszcie po stronie przepisów, które zdawały się w pewnej części podzielać te mniemania. Co do Cyganów zagranicznych, mianujących się u nas „Madziarami”⁴, to uważalibyśmy za stosowne, aby karawany ich, więcej szkodliwe niż pożyteczne, a w każdym razie przynoszące szwank porządkowi ogólnemu, pomimo legalnych paszportów, nie były wpuszczane na terytorium kraju, mającego do zbytku własnych wróżbitów, żebraków i szkodników.

¹ Sejm z roku 1607 – w 1607 roku, w maju odbył się w Warszawie sejm walny, którego podstawowym celem było przywrócenie porządku wobec rokoszu Zebrzydowskiego (bunt szlachty w latach 1606–1609, za panowania Zygmunta III Wazy).

² Ludwisarz (albo brązownik, gisernik) – rzemieślnik, odlewający z metalu dzwony, a także przedmioty codziennego użytku. Gisernia (z niem. *Gieserei*) – specjalistyczny warsztat odlewniczy.

³ Bielsk – chodzi o Bielsk Podlaski, miasto na Podlasiu, położone na Równinie Bielskiej, nad rzeką Białą, od 1843 roku wchodzące w skład guberni grodzieńskiej, współcześnie – woj. podlaskie. Nie udało się ustalić, jak nazywała się „wieś cygańska”, o której wspomina Gloger.

⁴ Madziarowie, Madziarzy – lud ugrofiński, protoplaści dzisiejszych Węgrów. Tu w funkcji metonimicznej: węgierscy Cygani.

NASZA MEDYCYNA LUDOWA,

„Ognisko Domowe” 1876, nr 15-17;

tekst ten ukazał się w „Ognisku Domowym”

jako osobny artykuł publikowany 1876 roku w następujących numerach:

nr 15, s. 182-183; nr 16, s. 198-199; nr 17, s. 206-207.

Artykuł został podpisany w nr. 17: „Zygmunt Gloger”.

W starożytnym Babilonie i u Chaldejczyków¹ wystawiano chorych na widok publiczny na rynku, gdzie każdy z przechodniów i tłumu udzielał im rady wedle swych wiadomości i doświadczenia. Coś podobnego dzieje się i u naszego ludu, z tą różnicą, że nie mając klimatu południowego ani placów publicznych we wsi, chory spoczywa w srodze zadusznej izbie, nawiedzany ciągle przez liczne kumoszki, z których każda doradza rozmaite leki. Na pochwałę tych niewiast przyznać tylko można, iż robią to wszystko bezinteresownie. Ale z drugiej strony, chory – opojony i opasiony rzeczami najbardziej niezdrowymi i najniebezpieczniejszymi w chorobie – staje zwykle na progu śmierci. Wtedy rodzina jego z krzykiem i płaczem bieży do dworu i jedzie po księdza lub po doktora.

Kto nie zna tych tysiącznych zabobonów, tych przeróżnych śmiesznych, wstrętnych i oburzających środków, używanych jako leki przez ludność wiejską, ten niech zajrzy do drukowanych przepisów medycznych francuskich i niemieckich z XVI wieku, a znajdzie tam niewyczerpaną ich skarbnicę. U nas, między innymi, mieści ich w sobie niemało gruba księga wydana w Krakowie roku 1620 przez Sebastiana Śleszkowskiego pt. *Aleksego Pedemontana, medyka i filozofa, Tajemnice – z łacińskiego języka na polski przełożone*² i tak dalej. W naszych czasach wiele ludowych zabobonów lekarskich zebrał i opisał dr Zieleniewski³. Znakomity znawca ludu, śp. Walery Wielogłowski, piórem pełnym humoru i prawdy skreślił *Medycynę wiejską – obrazek z obyczajów ludu wiejskiego*⁴. Jaskrawa satyra chłoszcze tu niemilosierne leki kmotrów i kumoszek, a każde towarzystwo uśmieć się może serdecznie z odmalowanej wybornie *organisciny*⁵, gdy z tytoniu, bożego drzewka i innych specyfików warzy w pęcherzu dla chorego uniwersalne lekarstwo. Autor zebrał tu i wyszydził lekarskie zabobony ludu krakowskiego, które jednak są wspólne wszystkim okolicom naszego kraju. Znajdujemy więc tu zarówno powszechne „odczyniania” uroków i zamawiania chorób, jak leczenie zapalenia płuc gorzałką, uwarzoną z pieprzem zebrany w dziewięciu domach, lub usuwanie niestrawności potężną dozą roztopionego smalcu gęsiego.

Prawie na równi z kumoszkami, ze znachorami postawić można w naszej medycynie ludowej starozakonnych golibrodów i felczerów⁶ po miasteczkach, którzy za pieniądze krew pokątnie puszczają, tudzież tych dymisjonowanych żołnierzy, którzy obsługiwali szpitale, a powróciwszy do domu, cieszą się nieraz wielką popularnością sztuki doktorskiej wśród ludu. Łączą bowiem w sobie domowe zabobony z pozorami nabytej w świecie praktyki i wiedzy. W pojęciach naszego wieśniaka nawet kucharka szpitalna może być połową doktora, a cóż dopiero człowiek, który mianuje się felczerem na zasadzie, że całemu batalionowi brody golił. Jak starozakonni patentowani cyrulicy w miasteczkach przy zamkniętych drzwiach puszczają chłopu krew z ręki w miarę zapłaty za groszy dziesięć, dwadzieścia lub za złoty (zwykle płaci się 10 groszy od kwaterki), tak dymisjonowani felczerzy wojskowi celują w doborze środków i sposobów do puszczenia krwi chorym, upatrując przyczynę każdej choroby w zepsuciu i obfitości krwawej posoki.

Jest jeszcze inny rodzaj doktorów. Są to wędrownie baby, dziady, „węgrzy”⁷ roznoszący towary i inni szarlatani. Wszyscy oni cieszą się wysokim zaufaniem naszego ludu. Baby i dziady wywdzięczają się radami za gościnne przyjęcie i szczodre zaopatrzenie sakwy podróźnej. Tak zwani „węgrzy” sprzedają jakieś kamyki i proszki, często za dość wysoką cenę. Podróżni szarlatani miewają przy sobie książkę, z której czytają odpowiedni środek na każdą chorobę, a lud przywiązuje wielką wiarę do lekarstwa wygłoszonego z papieru

drukowanego. Wskutek nieufności ludu do lekarzy wykwalifikowanych mała ich stosunkowo liczba może utrzymywać się na prowincji. Każdy prawie nasz kmieć woli pięć mil jechać do jakiegoś znachora, niż pół mili do doktora medycyny⁷.

Do większego jeszcze odstręczenia ludu od szukania pomocy u lekarzy przyczyniło się w ostatnich czasach podwyższenie ceny lekarstw w aptekach Królestwa, przez zastosowanie do tego kraju taksy rządowej z Cesarstwa. Nastąpiła stąd nadmierna drożyzna niektórych środków: niektóre przedmioty doszły do cen kilkakrotnie wyższych. Dla klas wyrobniczych leczenie środkami aptecznymi stało się prawie niemożliwym, a i kmieć zamożniejszy, niechętnie płacący groszem za poradę i lekarstwo (bo otrzymuje to darmo we dworze i od kumoszek), jeżeli dawniej skrobał się w głowę, płacąc w apteczkę kilka złotych, to dzisiaj jeszcze bardziej lęka się apteki, gdy trzeba często płacić rublami. Stracili na tym zarówno doktorowie, jak właściciele aptek, a najwięcej ci, którzy umierają z braku racjonalnej pomocy... nie zarobił zaś podobno nikt. Że apteki nie potrzebowały podobnego podwyższenia taksy, zdaje się dostatecznie dowodzić ogólny dobrobyt farmaceutycznego przedsiębiorstwa, w jakim ta reforma go zastała, a także i dzisiejsza różnica cen w aptekach naszych i pruskich, która występuje często zbyt rażąco, gdy na przykład lekarstwo, za które po jednej stronie między granicznej płaci się rubla, po drugiej kosztuje kilka srebrnych groszy. Czyżby cło miało stanowić taką różnicę?!

O ile drożyzna apteczna zły skutek wywiera, o tyle dopomaga zabobonom i pokątnemu leczeniu powszechna łatwość dostania u kramarzy miasteczkowych dość tanio na łuty i funty rozmaitych leków i trucizn. W jak wielkiej ilości rozchodzą się pomiędzy ludem tą drogą pokątne, bezreceptowe lekarstwa, dać może próbkę następujący wypadek. W miasteczku Zambrowie⁸ (gub. łomżyńskiej) przed rokiem zdechł nagle w nocy cały dobytek pewnej mieszczanki, wskutek mściwego zatrucia arsenikiem, którego znaleziono w żłobie znaczną ilość. Przy dopełnionej przez władzę w miejscowych kramach rewizji nie znaleziono wprawdzie arseniku, ale takie przedmioty, jak: aloes, senes, cytwar, rumbabarum, kulczyba (wronie oko)⁹ i tym podobne, dozwolone tylko aptekom, znalazły się w ilości niekiedy *kilkunastu funtów*, o wiele przenoszącej ilość, jaką posiadała miejscowa, zamożna apteka. Przekonani zaś jesteśmy, że Zambrów pod względem pokątnego handlu takimi przedmiotami nie stanowi wcale wyjątku wśród tysiąca innych naszych miasteczek. Wypadek tylko i niespodziana rewizja odsłoniły w jednej miejscowości to, co się dzieje powszechnie. O ile zaś leki powyższe, używane nad miarę i nieodpowiednio przez prostotę, są niebezpieczne i tysiące najgubniejszych skutków sprowadzają, nie potrzebujemy tego dowodzić.

W odpowiednim stosunku do medycyny naszego ludu znajduje się i cała jego higiena. Inaczej być nie może. Nie mamy tu miejsca na przytoczenie wszystkich okoliczności w sposobie życia i zachowania się ludności wiejskiej, które są przyczyną srodze wysokiego u nas stosunku śmiertelności. Nic na przykład pospolitszego na wsi, wśród zimnej i słotnej pory w październiku, listopadzie i kwietniu, jak widok bosej i lichy odzianej dziatwy, pasącej po całych dniach wiejski dobytek. Starszym nie chce się ziębnąć w polu, więc wypychają na błoto i szarugę tych, co muszą słuchoać. Przeziębienie powoduje liczne choroby, a gdyby kto był w stanie obliczyć, ile to dziatwy umiera w kraju corocznie z tej przyczyny, to przekonalibyśmy się, że podobne hartowanie dzieci kmiecych przynosi bardzo smutne rezultaty¹⁰.

W ogóle ze wszystkiego cośmy powyżej powiedzieli, przedstawia się niesłychanie smutny obraz kwestii sanitarnej u naszego ludu. Ogromny procent tej najliczniejszej warstwy narodu podlega chorobom, a jeszcze większy procent chorych porzuca ten świat z przyczyny zabobonnych lub szkodliwych leków, nieumiejętnego zachowania i dozoru w chorobie, braku wszelkiej pomocy i tym podobnych. O ile razi to wszystko wobec względnej zamożności naszego ludu, o tyle mniej dziwi wobec jego ciemnoty. W każdym razie jest to pierwszorzędną kwestia społeczną, kwestia srodze paląca, bo nikt nie jest w stanie obliczyć, ile ogół ponosi na tym codziennie strat moralnych i ekonomicznych, i ile dźwiga na sumieniu z powodu niespełnionych obowiązków względem ludzkości, kraju i przyszłych pokoleń.

Środki do zaradzenia złemu są liczne, a spożytkowane muszą być wszystkie, aby cel uwieńczony został pomyślnym rezultatem. Współdziałanie ogółu i władzy jest tu bezwarunkowo koniecznym. Do środków tych należy: 1) oświata, 2) oddziaływanie stosowne pism ludowych, 3) odpowiednie przepisy policyjne, 4) energiczne postępowanie lekarzy powiatowych i miejskich, 5) dobrzy lekarze i felczerzy wiejscy, 6) wpływ inteligencji wiejskiej, 7) oddziaływanie duchowieństwa i 8) rozpowszechnienie domowych poradników leczniczo-higienicznych.

Najskuteczniejszym antydotem¹¹ przeciw zabobonom jest – oświata. Nie masz dziś podobno w kraju naszym ucywilizowanego człowieka, który by nie pojmował ważnej potrzeby oświaty ludu tak ze względów praktycznych, jak duchowych. Do działania przeciw szkodliwym zabobonom za pomocą szerzenia oświaty obowiązani są w miarę swoich środków i stosunków wszyscy, którzy należąc do społeczeństwa mają tym samym i obowiązki względem niego. Tu pominąć nie możemy ważnej okoliczności, iż obecnie, posiadając w Królestwie 2 080 rządowych szkółek wiejskich i około tyluż nauczycieli, mamy prawo żądać od tych ostatnich, aby obok nauk elementarnych odpowiednie miejsce przeznaczyli i dla higieny domowej.

Obowiązków, jakie mają pod tym względem redakcje pism przeznaczonych dla warstw mniej oświeconych, nie potrzebujemy tu wyszczególniać. Ludzie dobrej woli, udzielając tą drogą rad higienicznych, mogliby nieskończone wyświadczać dobrodziejstwo dla prostaczków. Należy to zresztą do przeznaczenia i powołania tej gałęzi prasy. Przede wszystkim jednak potrzeba, aby pisma ludowe rozchodziły się pod strzechy słomiane, inaczej bowiem droga ta jest zamknięta. Przyczynić się pośrednio do jej stworzenia mogliby właściciele gospód i karczm, prenumerując dla tych zakładów jakieś pismo najprzystępniejsze, jak to ma miejsce od dawna w innych krajach.

O zadaniu władz nie potrzebujemy także rozpisywać się szeroko. Mamy w naszym kraju już dość dawno przepisy wzbraniające pokątnego leczenia, puszczenia krwi bez świadectwa lekarza, a obowiązujące na przykład do szczepienia ospy i tym podobne. Zadaniem władz administracyjnych jest przestrzeganie ścisłego zachowania tych przepisów. Najwięcej podobno atoli zależy od lekarzy powiatowych i miejskich, którzy mają obowiązek czuwać z urzędu nie tylko nad wykonaniem podobnych przepisów, ale także wglądać we wszelkiego rodzaju sprawy dotyczące zdrowia publicznego. Dla ludzi dobrej woli przedstawia się tu niezmiernie obszerna dziedzina do działania i pole do zasługi względem kraju.

Ogromną doniosłość mógłby posiadać także wpływ prowincjonalnego duchowieństwa na lud. Pomijamy kazalnice i konfesjonał, gdzie sprawy duchowej natury panować powinny. Ale zacny pasterz wiejski ma ciągłą prawie styczność z ludem, zaufanie w każdym sercu, wstęp i szacunek przy ognisku każdego wieśniaka, każdy dom on nawiedza, przybywa z wiatykiem¹² do łoża każdego złożonego niemocą parafianina. Znajomość domowych środków leczniczych i higieny jest nieodzowną dla człowieka na takim stanowisku. Toteż w *Medycynie wiejskiej* Wielogłowskiego wystawiony jest wzór zacnego kapłana na wsi.

Obok wpływu duchowieństwa postawić można dwór, czyli inteligencję wiejską. Tu mimowolnie nasuwa się nam przed oczy obrazy Andriollego¹³ przedstawiające „z życia wiejskiego dworu” pomoc niesioną pod strzechy przez chrześcijańskie zacnego serca ziemianki, które wyżej umiały się wznieść nad poziome okoliczności i nieraz doznawaną niewdzięczność ludzi bez światła; które przechowując tradycję apteczek, utrzymywanych dawniej we wszystkich dworach, niosą swej czeladzi i wiosce domowe środki i doświadczoną radę, skuteczniejszą nieraz w pospolitych cierpieniach od długich recept. Chrześcijańska miłość rozjaśnia tym sercom drogę do cichej, w wiejskim ustroju, nieznaney światu zasługi i cichszej jeszcze radości sumienia. Takimi chcielibyśmy widzieć wszystkie żony i córki nasze¹⁴.

Nic atoli w wielu okolicznościach nie zastąpi dobrego felczera, którego każda gmina, parafia – a nawet wieś duża bezwarunkowo mieć powinny. Już samo szczepienie ospy, dozór nad chorymi i pomoc dla lekarza tudzież zestawianie złamanych nóg i rąk, leczenie ciężkich ran, przedstawia dla wiejskiego felczera szerokie zadanie. Mamy na przykład w kraju naszym ogromną ilość kalek, którzy dla braku umiejętnej pomocy felczerskiej stali się męczennikami na resztę życia i ciężarem społecznym. Arcypożyteczne stanowisko mogą mniej więcej na tym samym polu zająć siostry miłosierdzia jako dozorczyńce wiejskich szpitali i opiekunki chorych na wsi. Od lat wielu, nawet częściej ongi niż dzisiaj, można było widzieć szarytkę¹⁵ stale mieszkającą przy zamożnym dworze, która będąc przyjaciółką domową, wysmienicie spełniała wszystkie obowiązki felczera i domowego lekarza dla czeladzi i włości¹⁶. Między osobami tego rodzaju zdarzały się często niewiasty ewangelicznego poświęcenia i zadziwiającej zręczności chirurgicznej.

O potrzebie dobrego szpitala i lekarza w każdej okolicy zdaje się, że zbyt czerocnym byłoby mówić. Ratuńek wszakże na wsi, przy braku lekarzy posiadających własne konie i płatnych przez gminę, jest dla połowy ludności wiejskiej niemożliwym. Nie każdy kmięć – a cóż dopiero wyrobnik i zagrodnik – może doktora przywozić i odwozić, i płacić mu rubli kilka, a nawet kilkanaście za jeden przyjazd. Złe zostałyby w znacznej części usuniętym, gdybyśmy, zamiast zamawiających dziadów, bab, „węgrów” i różnych wędrownych szarlatanów, mieli w każdej gminie na pół wędrownego chirurga lub lekarza, który by co kilka dni objeź-

dzał wioski na skromnym wózku, znał życie i obyczaje ludu i umiał sobie zjednać jego zaufanie, był jego przyjacielem i powiernikiem.

Ostatnim, ale także wysokiej doniosłości czynnikiem, o którym mamy mówić, jest – w postaci taniej książeczki – poradnik domowy leczniczo-higieniczny. Mamy w naszym języku kilka prac tego rodzaju. Naprzód więc wymienić musimy doktora Bokiewicza *Higienę popularną czyli naukę zachowania zdrowia dla ludu wiejskiego* (1861)¹⁷, dalej: doktora Ściborowskiego *Poradnik dla niewiast wiejskich podczas brzemienności, oraz, jak dzieci chować należy* (1866)¹⁸; następnie, doktora Rosickiego *Krótki rys higieny dla ludu wiejskiego jako podręcznik dla plebanów i nauczycieli szkół elementarnych* (1875)¹⁹. Jest także *Medycyna wiejska* Wielogłowskiego i w niej podane lekarskie rady księdza proboszcza, *Medycyna ludowa* A. Simsona [!]²⁰ i *500 środków domowych* doktora Hufelanda²¹. W kalendarzach ludowych znajduje się także kilka drobnych rzeczy z tej samej dziedziny, i tak: w *Kalendarzu 10-groszowym* na rok 1863²² są doktora Stanisława Janikowskiego *Myśli i zdania o zachowaniu zdrowia, przeznaczone szczególnie dla rzemieślników*; w *Kalendarzu domowym* na rok 1871 znajdujemy znowu *wykaz niektórych roślin lekarskich*²³.

A teraz, jeżeli nas zagadnienie, Szanowni Czytelnicy, która z powyższych książek zasługuje na rozpoznanie między ludem, odesłamy Was po odpowiedź do specjalisty, gdyż odpowiedź taka przechodzi zakres naszej wiedzy. *Medycyna ludowa* A. Simsona kosztuje rs. 2 kop. 40, więc już wcale nie może służyć dla ludu: znamy ją zresztą tylko z katalogów księgarskich. *Higiena popularna* dra Bokiewicza kosztuje złp. 4, więc także cena nie pozwala jej zostać podręcznikiem „ludowym”. Książeczka dra Rosickiego obejmuje tylko higienę, a dra Ściborowskiego tylko rady dla niewiast brzemiennych; Hufeland znowu zawiera same środki leczenia. Jednym słowem, podobno nie mamy wcale wszechstronnego i taniego podręcznika dla klas uboższych i mniej oświeconych. O ile zaś brak takowego dotkliwie czuć się daje, o tyle napisanie podobnej książeczki nie przedstawia wielkich trudności. Nie chodzi tu bowiem wcale o oryginalność utworu i o rzeczy nowe w nauce, ale chodzi przede wszystkim o dobrą kompilację. Chodzi o to, co najlepsze, jasnym stylem opisać, dużym drukiem ogłosić i za tanie pieniądze sprzedawać. Książeczka tego rodzaju o kilkudziesięciu kartkach powinna kosztować najwyżej złotówkę. Jeżeli co nowego dodać by można do jej treści, to gruntowne zabicie wszystkich zabobonów liczebnych naszego ludu. W rozprzedaży pośredniczyć by mogli wyśmienicie: wiejscy kapłani, nauczyciele szkółek wiejskich, wójtowie gmin i aptekarze po miasteczkach. Wchodzi to bowiem pośrednio w obowiązki wszystkich tych stanów. Prawda, że połowa naszego ludu czytać jeszcze nie umie, ale też nie ma w całym kraju wioski, w której by choć kilka osób nie posiadało tej nauki. Gdyby zaś do każdej „gromady” jeden tylko dostał się egzemplarz, byłby to już rezultat nader świetny – rozeszłoby się w Królestwie 20 000 poradników!

^a Do przyczyn takiego tradycyjnego usposobienia ludu należy i ta, że dopiero za naszych czasów mamy na prowincji ogół lekarzy Polaków. Przez kilka zaś ostatnich wieków bywali nimi pospolicie szarlatani z całego świata, cudzoziemcy niezający naszego języka i obyczaju, którzy zaszczepili wśród ludu niepocholebne o swoim stanie pojęcie. Tym większe przeto pozostaje dla lekarzy dzisiejszych pole pracy nad ludem.

¹ Chaldejczycy – starożytny lud semicki posługujący się dialektem języka aramejskiego. Najechali Babilon i około VII wieku p.n.e. stworzyli państwo nowobabilońskie.

² S. Śleszkowski, *Alexego Pedemontana Medyka y Philosopha Taiemnice. Wszystkim obojga płci nie tylko ku leczeniu rozmaitych chorob [...] barzo potrzebne, ale y gospodarzom, rzemieślnikom [...] y innym wielce pożyteczne. Z Łacińskiego języka na Polski przełożone, y w porządek dobry teraz uprawione [...]; Avctore Sebastiano Slescovio [...]*, Kraków 1620. Alessio Piemontese (łac. Alexius Pedemontanus) był XVI-wiecznym włoskim lekarzem, alchemikiem, uczonym; jego dzieło (oryg. *De' secreti del reuerendo donno Alessio Piemontese, prima parte, diuisa in sei libri*, Venetia 1555) zdobyło w Europie ogromną popularność. Sebastian Śleszkowski był zaś jego tłumaczem na jęz. polski.

³ Chodzi o Michała Zieleniewskiego (1821–1896) – doktora medycyny, chirurgii i magistra akuszerii, lekarza rządowego przy zdrojach w Krynicy, autora rozprawy doktorskiej *O przesądach lekarskich ludu naszego*, Kraków 1845.

⁴ Zob. W. Wielogłowski, *Medycyna wiejska: obrazek z obyczajów ludu wiejskiego przez Walerego Wielogłowskiego*, Kraków 1863. Dzieło w formie humorystycznych scenek prezentuje realia radzenia z sobie z chorobami zwierząt i ludzi na wsi polskiej w pierwszej połowie XIX wieku, a także ludowe przekonania na ten temat.

⁵ Organistka – żona organisty kościelnego.

⁶ Felczer – pomocnik (a na dawniej wsi często: zastępca) lekarza, mogący wykonywać samodzielnie pewne zabiegi, ale o mniejszych od niego kwalifikacjach.

⁷ „Węgrzy” – trudno wskazać jednoznacznie, w jakim znaczeniu pojawia się ten wyraz. „Węgrami” nazywano między innymi hajduków, czyli tzw. piechotę węgierską (albo: polsko-węgierską), polską gwardię królewską zorganizowaną w XVI wieku na spo-

sób węgierski. Później nazwa ta rozprzestrzeniła się i zaczęto nią określać między innymi rabusi, opryszków. W języku węgierskim słowo 'hajdúk' znaczy właśnie: 'rabusie' (l. poj. *hajdú*). Chodzi więc o jakiś włóczęgów, niebezpiecznych obcych, wędrownych oszustów i podejrzanych handlarzy.

⁸ Zambrów – miasteczko nad rzeką Jabłonką w dawnym powiecie łomżyńskim (w guberni łomżyńskiej), współcześnie miasto i gmina w województwie podlaskim.

⁹ Rośliny o właściwościach leczniczych: senes – surowiec leczniczy z liści senesowych (gat. *Senna alexandrina*); cytwar – inaczej: bylica cytwarowa (*Artemisia cina*) – gatunek azjatyckiej rośliny z rodziny astrowatych; kulczyba wronie oko – gatunek azjatyckiego drzewa z rodziny loganiowatych (*Loganiaceae*), w większych dawkach trującego, zawiera strychninę; rumberbarum – jedna z nazw rabarbaru dłoniastego (*Rheum palmatum L.*).

¹⁰ W tym miejscu kończył się artykuł w numerze 15 „Ogniska Domowego”. Ciąg dalszy (od słów: „W ogóle ze wszystkiego cośmy...”) opublikowano w numerze 16.

¹¹ „Antydotem” – czyli: antidotum, co w tym kontekście oznacza: remedium, środkiem zaradczym.

¹² Wiatyk – komunია święta podawana umierającemu lub zagrożonemu śmiercią.

¹³ Michał Elwiro Andriolli (1836–1893) – romantyczny malarz, ilustrator. Zilustrował między innymi *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza.

¹⁴ W tym miejscu kończył się artykuł w numerze 16 „Ogniska Domowego”. Ciąg dalszy (od słów „Nic atoli w wielu okolicznościach...”) opublikowano w numerze 17.

¹⁵ Szarytki, siostry miłosierdzia – Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo – żeńskie katolickie zgromadzenie zakonne, mające na celu niesienie pomocy chorym i potrzebującym.

¹⁶ Czeladzi i włości – służby oraz chłopów.

¹⁷ Leon Bokiewicz, *Hygiena popularna czyli Nauka zachowania zdrowia : dla ludu wiejskiego*, Warszawa 1861.

¹⁸ Władysław Ściborowski, *Poradnik dla niewiast wiejskich jak się mają zachować podczas brzemienności, podczas porodu, położu oraz jak dzieci ze względu na ich zdrowie chować należy*, Warszawa 1866.

¹⁹ Sebastian Rosicki, *Krótki rys higieny dla ludu wiejskiego jako podręcznik dla plebanów wiejskich, nauczycieli szkół pedagogicznych i dla nauczycieli szkół elementarnych*, Kraków 1875.

²⁰ Antoni Arnold Simon, *Medycyna ludowa czyli treściwy pogląd na środki ochronne, poznawanie i leczenie chorób. Poradnik lekarski dla wszystkich stanów według najnowszych źródeł*, Warszawa 1860.

²¹ Krzysztof Wilhelm Hufeland, *500 środków domowych, czyli Najtańszy lekarz wraz z przepisem urządzania apteki domowej*, Warszawa 1861.

²² Chodzi być może o *Kalendarz 10-groszowy*, wyd. „Biblioteki Warszawskiej”, Warszawa 1862/1863.

²³ Nie udało się ustalić, o który „kalendarz domowy” może chodzić, jako że wiele wydawnictw zawierało to sformułowanie w swym tytule – por. *Kalendarz Domowy i Gospodarski (Krakowski Ilustrowany)*, Kraków; *Kalendarz domowy dla wsi i miasta* (Warszawa).

ZNAD NARWI, W KWIETNIU,
 „Ognisko Domowe” 1876, nr 18;
 tekst opublikowano w dziale „Korespondencja” na s. 223-224,
 z podpisem: „Z. G.”.

Jako uzupełnienie artykułu pt. *Nasza medycyna ludowa*¹, drukowanego w ostatnich numerach „Ogniska Domowego”, przesyłamy słów kilka w kwestii pożywienia naszego wiejskiego ludu. Z ogólnych zasad higieny wiemy, iż do należytego rozwoju i utrzymania organizmu człowieka potrzebną jest pewna różnorodność w pożywieniu, polegająca na przykład na mieszaniu potraw mięsnych z roślinnymi, słodkich z kwaśnymi, i tym podobne. Każda jednostronność na tej drodze pociąga za sobą prędzej lub później większe lub mniejsze skutki szkodliwe dla zdrowia. Człowiek jako istota w połowie mięsożerna potrzebuje obok strawy roślinnej pewnej ilości pokarmów mięsnych. Tymczasem lud nasz, jak wiadomo, spożywa mięsa bardzo mało, ograniczając jego użytek do niedziel lub świąt uroczystych. Naturalna tego przyczyna leży w tym, że w porównaniu do domowych produktów roślinnych mięso kupowane w miasteczkach u rzeźników jest bardzo drogim artykułem dla ludzi uboższych, nie zawsze go na wsi dostać można i latem przechowywać bez lodowni² nie sposób.

Wszystkiemu złemu zaradzić by tylko mogli włościanie, gdyby się wzięli sami do rzezi bydła, kupując na przykład po jednej sztuce do zarznięcia i rozprzedając na wsi i do dworu po takiej cenie, żeby się suma wyłożona na kupno wróciła, a umiarkowany zarobek wynagrodził fatywę ludzi zajętych tą czynnością. Kto zna kuchenne sprawy prowincji, ten pojmie łatwo, jak wielka wygrana leży w pominięciu miasteczkowych jatek i rzeźników. Myśli tu rzuconej nie wzięliśmy z teorii, ale z praktyki. Widzieliśmy już kilka podobnych przykładów i przekonał się, że gdy w miasteczku było liche mięso po 7 kop. funt, to przedsiębiorczy kmięć sprzedawał na wsi znacznie lepsze po 5 kop. i jeszcze na każdej sztuce osiągał zysku około 2 rs. Cztery grosze różnicy na funcie stanowi dla ludzi niezamożnych znaczną rubrykę ogólną. Waga przy tym lepsza i wygoda miejscowa, łatwość nabycia bez trudu i podróży do miasta także coś znaczy. Jakkolwiek każda ludniejsza i zamożniejsza wioska, sama lub w połączeniu z dworem, od razu rozkupić może całą zabita sztukę, to jednak w porze letniej lodownie bardzo są przydatne tam, gdzie podobne spekulacje miewają miejsce. Ponieważ niemożliwym jest, aby każdy kmięć lodownię posiadał, to przynajmniej powinien mieć jedną we wsi ten, kto zajmuje się rzezią bydła, aby mięso mógł w niej dłużej przechowywać do rozprzedaży. Lodownię można zbudować bardzo małym kosztem, a i dla chorych lód wielce przydatnym być może w pewnych razach. Są kraje, gdzie nie masz wsi bez lodowni – u nas bywają one tylko po dworach. Handlem mięsnym niekoniecznie mogliby zajmować się rolni gospodarze. Owszem, sądzimy, iż wobec rozrządzenia się kmięci i idącego za tym rozdrabniania ojcowizny, niektórzy ich synowie mogliby w tym procederze znaleźć środek do utrzymania rodziny.

Gdy niestety lud nasz wiejski nie czytuje jeszcze prawie żadnego piśmka periodycznego, które mogłoby właśnie do takiego rodzaju pożytecznych rzeczy go zachęcać i podobne wiadomości wśród niego upowszechniać, przeto tym ważniejszym jest obowiązkiem wiejskiego duchowieństwa oddziaływać radą i nauką na materialną stronę życia ludu wiejskiego. Umocni to pożądany związek między trzódką a jej za-

cnym pasterzem, który będzie miał szlachetną, bezinteresowną pieczę nie tylko nad duchem, ale i nad ciałem swych owieczek jako pomieszkaniem ich ducha³.

¹ Zob. Z. Gloger, *Nasza medycyna ludowa*, „Ognisko Domowe” 1876, nr 15, s. 182-183; nr 16, s. 198-199; nr 17, s. 206-207 [XVI, 5].

² Lodownia – pomieszczenie chłodzące, w którym do utrzymania odpowiedniej temperatury wykorzystywano lód.

³ Ostatni akapit niniejszego artykułu jest przerobionym nieznacznie fragmentem tekstu *Z powiatu ostrowskiego*, „Gazeta Warszawska”, 1874 nr 268 [IX, 26] – od słów „Gdy na nieszczęście lud nasz nie czytuje żadnego pisemka...” (tamże, ostatni akapit).



POMNIK K. BRODZIŃSKIEGO w kościele pp. wizytok w Warszawie. (Rysował z oryginału Tegazzo).